LIRA
WYDAWNICTWO

Zabójstwo na cztery ręce

czyli

KLASYCZNA POWIEŚĆ KRYMINALNA

o wdowie, zakonnicy i psie

(z kulinarnym podtekstem)

KAROLINA MORAWIECKA

Zabójstwo na cztery ręce

KAROLINA
MORAWIECKA

Zabójstwo na cztery ręce

czyli

KLASYCZNA POWIEŚĆ KRYMINALNA

o wdowie, zakonnicy i psie

(z kulinarnym podtekstem)

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.
Wydanie pierwsze
Warszawa 2019
ISBN: 978-83-66229-61-7

Nowożeńcom

Plan Dworku Pod Modrzewiem

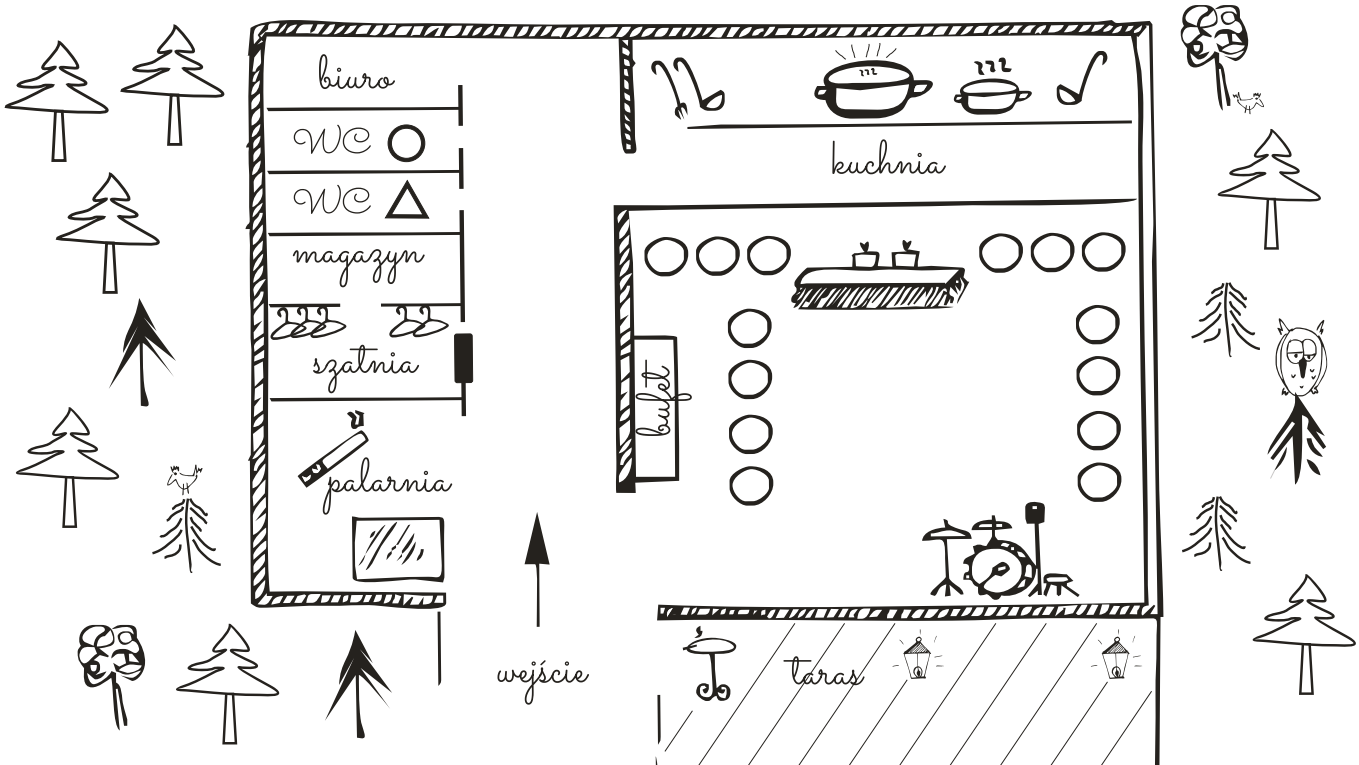

LOVE

Rozdział pierwszy

o tym, że zemsta — niczym nóżki w galarecie — najlepiej smakuje na zimno, a przedślubna gorączka atakuje wszystkich bez wyjątku

Szamotała się w rozpaczliwym milczeniu. Zbyt dobrze zdawała sobie sprawę z konsekwencji, żeby bodaj spróbować wydać z siebie głos. Choć z każdą chwilą coraz bardziej brakowało jej tlenu; chociaż niemal słyszała trzask pękających żeber — nie odezwała się.

Gruby materiał na jej twarzy pozbawiał ją nie tylko powietrza, ale i światła. W nieprzeniknionej ciemności słyszała jedynie coraz głośniejsze bicie swojego serca i pulsującą w żyłach krew. Czuła, że koniec jest blisko. Przed oczami przeleciało jej całe życie. Powoli oddawała

się tym obrazom i zapadała w przeszłość. Lecz kiedy wyobraziła sobie tryumfalny uśmiech dawnej sąsiadki i odwiecznej rywalki, Ady Raźny, poczuła, że to się nie może tak skończyć. Nie teraz. Nie tu! Ostatnim desperackim ruchem raz jeszcze pociągnęła duszący ją materiał i… zdarzył się cud! Poczuła na twarzy delikatny prąd powietrza, zobaczyła światło. Rozpaczliwie łapała oddech, choć opinający jej piersi węzeł niewiele zelżał.

— Przepraszam, czy wszystko w porządku? — usłyszała. — Jak rozmiarek? Pasuje? Bo wie pani, większych po prostu nie szyją… Sprawdziłam.

Atak paniki powoli mijał. Karolina Morawiecka przełknęła ślinę, by złagodzić suchość w gardle.

— Tak, dziękuję, kochaniutka — odpowiedziała, a jej głos, osłabiony wyczerpującą walką, bez problemu przedostał się przez welurową kotarę. — Wszystko w porządku. Proszę sobie nie zawracać głowy, złociuchna. Rozmiarek jest idealny… Wezmę tę sukienkę.

Kiedy pięć minut później stanęła przy kasie, nikt nie mógłby nawet domyślić się dramatu, który tak niedawno rozgrywał się w przymierzalni sklepu odzieżowego New York w podkrakowskiej Skale. Owszem, Karolina Morawiecka wciąż była nieco zaróżowiona na twarzy, ale intensywny kolor jej mahoniowo–buraczanych loczków* był o wiele, wiele mocniejszy. Zresztą

* Fryzura naszej bohaterki także w żaden sposób nie zdradzała intensywności ostatnich zdarzeń, gdyż — jak zawsze, kiedy wychodziła „do ludzi" — pani Karolina utrwalała ją po wielokroć lakierem.

wzrok ekspedientki, pani Kasi, nawet nie zawędrował we wspomniane rejony, gdyż zatrzymał się na korpusie walecznej wdowy po aptekarzu. I ani na milimetr się nie przesunął. Bo też, trzeba przyznać, widok był co najmniej… imponujący.

Napięta do granic satynowa tkanina podkreślała każdą hodowaną przez lata i z wielkim pietyzmem fałdkę, każdy wałeczek i wałek. Ale choć obfitość brzucha pani Karoliny stanowić by mogła żywy dowód na działanie ruchów izostatycznych i epejrogenicznych; na wypiętrzanie i wydźwiganie fragmentów powierzchni (tym razem jednak powierzchni ludzkiego ciała, nie Ziemi), to przecież wzrok przykuwał przede wszystkim epicki biust. A w zasadzie wydrukowane na błękitnej satynie żółte irysy, rozpięte teraz na kształt monstrualnych tworów.

Świadoma efektu, jaki najwyraźniej wywarła, Morawiecka uśmiechnęła się tryumfalnie.

— Och, wie pani, kochaneńka — rzuciła lekko w stronę sprzedawczyni — tak się w niej dobrze czuję, że postanowiłam już tej sukieneczki nie ściągać…

Pani Kasia, pracująca z klientami nie od dzisiaj, zachowała absolutnie profesjonalny wyraz twarzy. Nie wzdrygnęła się, nie zachichotała, a jej brew, wyraźnie zaznaczona kruczoczarną henną, nawet nie drgnęła. Uśmiechnęła się łagodnie do stojącej przed nią starszej pani o wzroście odwrotnie proporcjonalnym do tuszy i powiedziała głosem niezdradzającym żadnych większych emocji:

— Oczywiście, pani Karolinko. Zresztą klientki często tak robią, a pani wygląda w tej kreacji bardzo… twarzowo. — A gdy komplement wybrzmiał, oznajmiła głosem twardym jak skała: — Po rabaciku to będzie dwieście złotych.

Choć dół sukienki wymuszał na niej raczej małe kroczki zamiast tradycyjnego dziarskiego chodu, a szerokość rękawów niepokojąco tamowała przepływ krwi w żyłach, powodując bolesne mrowienie obu rąk, Karolina Morawiecka postanowiła nie zapinać płaszczyka. Krótki spacer z rynku na parking przy placu Konstytucji 3 Maja, nawet w tak chłodny październikowy dzień jak dzisiaj, nie powinien zagrozić jej doskonałemu zdrowiu, był natomiast znakomitą okazją, by pochwalić się nową kreacją.

Ukradkowe spojrzenia rzucane w jej stronę przez mijających ją przechodniów były, i owszem, nader przyjemne, jednak pani Karolina liczyła na więcej. I doczekała się, kiedy na Nullo, już niemal przy parkingu, na którym stało jej białe tico, pojawiła się znajoma postać. Ada Raźny, pracownica urzędu pocztowego w Skale, na widok nadchodzącej wdowy po aptekarzu aż przystanęła.

Jakże niezwykła bywa ludzka pamięć! Jakże żywe potrafi przechowywać wspomnienia! Drobiazgowe obrazy, odtwarzane przez Marcela zanurzającego magdalenkę w herbacie w poszukiwaniu straconego czasu, nikły jednak przy zdolności obu pań! Niczym była przy niej

pamiętliwość Funesa (choć przecież, w odróżnieniu od Borgesowskiego bohatera, żadna z nich nie spadła z konia!)! Obie rywalki pamiętały bowiem w sposób niezachwiany i niezmącony każdą zniewagę, najmniejszą urazę czy przytyk skierowany kiedykolwiek w ich stronę przez tę drugą. I chociaż żadna, o ironio losu!, nie pamiętała, kiedy i jak się ta wojna zaczęła, to przecież i pani Karolina, i pani Ada nosiły w sercu niezliczoną ilość zadr. I pielęgnowały je z pełnym oddaniem. Niczym najcenniejszy zaczyn na chleb, dokarmiały je regularnie odkurzanymi wspomnieniami. Każde krzywe spojrzenie, każde złe słowo nosiły w sercu i z matczyną niemal troską pozwalały im rosnąć. A kiedy już osiągały spore rozmiary; kiedy lśniły wypolerowane wspomnieniami, doznane krzywdy nabierały kształtów ostrych niczym brzytwa.

Od czasu pamiętnego konkursu na najlepsze ciasto napięte (niczym satynowa tkanina na biuście pani Karoliny) stosunki między obiema paniami były, delikatnie rzecz ujmując, jeszcze trudniejsze. I choć minął już niemal rok od chwili, kiedy jury w składzie: pani Małgorzata, siostra Tomasza, ksiądz Szymon oraz pomysłodawczyni Karolina Morawiecka wskazało czekoladowe ciasto pani Raźny jako najlepsze, jednak zwyciężczyni wciąż pamiętała bolesne słowa, którymi wdowa po aptekarzu ją upokorzyła. I przez ponad trzysta nocy obmyślała zemstę za tamte, niby od niechcenia rzucone słowa. Za zniewagę sugerującą, że ona, Ada Raźny, wygrała tylko dlatego, że Morawiecka wspaniałomyślnie

postanowiła w konkursie nie brać udziału! Że zdecydowała się na członkostwo w jury tylko po to, aby dać jej, Adzie Raźny, możliwość zwycięstwa!

Teraz pracownica urzędu pocztowego poczuła, że za chwilę nastąpi wiekopomny moment odkupienia win. Że pokona Morawiecką i odpłaci jej za wszystkie złośliwości.

— Och, dzień dobry, Karolinko kochana! — zaćwierkotała, kiedy owiał ją słodki duszący zapach bzowych perfum. — Jak dobrze cię widzieć. Co tam, moja droga, słychać na tej twojej… wsi?

— Adeczko droga — wdowa po aptekarzu nie dała się sprowokować — wspaniale cię zobaczyć. W ogóle się nie zmieniłaś!

Teraz, zgodnie ze wszystkimi zasadami, dawna sąsiadka powinna przystąpić do zapewnień, że i Karolina Morawiecka nie zmieniła się nic a nic. Że wygląda wspaniale, a życie na wsi najwyraźniej jej służy. Że choć przed sześcioma laty wyprowadziła się ze Skały do Wielmoży, to przecież wciąż jest kobietą światową, a jej wytworna kreacja tylko to potwierdza. I w końcu — jak należałoby przypuszczać — powinno paść stwierdzenie, że nikogo nie może to dziwić, skoro chodzi o wybitną detektywkę, której sława obiegła już całą okolicę i, kto wie?, może dotarła nawet do samego Krakowa.

Tymczasem, choć pani Karolina przyjęła wytworną pozę, w jakiej tak lubiła przyjmować komplementy (prawa nóżka wdzięcznie wygięta do tyłu, przywodząca na

myśl dystyngowane dygnięcie; ręce złożone na biuście i lekko pochylona w dół głowa, sugerująca skromność i pokorę) — żadne z oczekiwanych słów nie padło.

Ponieważ sukienka piła ją niemiłosiernie, a mrowienie niebezpiecznie przybrało na sile, pani Karolina postanowiła naprowadzić koleżankę na właściwe słowa, by jak najszybciej móc się pożegnać. W końcu nie każdy jest równie spostrzegawczy co ona, nie każdy cieszy się instynktem godnym Herkulesa Poirota! Nieco zdrętwiałymi rękami rozsunęła więc mocniej poły płaszcza.

Ada Raźny przyglądała się wdowie po aptekarzu z niebezpiecznym uśmiechem. A kiedy ta spojrzała na nią uważnie (jednocześnie prostując nogę, gdyż nierównomiernie rozłożony niemal stukilogramowy ciężar nieco nadwyrężał jej kręgosłup), odezwała się słodko:

— Czyżby nowa sukienka, Karolinko?

— Och! — rozpromieniła się Morawiecka. — Ależ skąd!

I aby, broń Panie Boże!, nie skłamać, dodała enigmatycznie:

— Tę sukienczynę kupiłam już jakiś czas temu. Choć właśnie się wybieram na zakupy. Wkrótce wesele Rafałka Batorego i sama rozumiesz… — zawiesiła głos niepewna, czy państwo Batorowie nie zaprosili przypadkiem i pracownicy urzędu pocztowego.

Ada Raźny, która pomimo wielkich nadziei i krótkich, acz żarliwych modlitw zaproszenia na wesele nie dostała, mimowolnie się skrzywiła.

— No tak, to już niebawem, więc najwyższy czas pomyśleć o stosownej garderobie. Na twoim miejscu jak najszybciej szukałabym jakiejś kreacji.

Coś ewidentnie poszło nie tak. Sztuka dyplomacji, w której (w co gorąco wierzyła) Karolina Morawiecka już lata temu osiągnęła wirtuozerię, nakazywała rozmówczyni zastosowanie przynajmniej jednej pochwały. Uraczenia komplementem, który jednoznacznie potwierdziłby nie tylko wysoką kulturę osobistą, nie tylko ogładę, ale przede wszystkim przyjacielskie nastawienie i dobre serce. Tymczasem Ada Raźny na piękno sukienki, ba!, na urodę pani Karoliny odzianej w subtelnie błyszczącą satynę w żaden sposób nie zareagowała.

Zirytowana wdowa po aptekarzu postanowiła ją więc ponownie naprowadzić na właściwy trop.

— Piękną masz tę apaszkę, Adeczko — powiedziała z naciskiem na pierwsze słowo.

Tak musiał uśmiechać się szeryf Will Kane przed pojedynkiem w samo południe! I choć twarz pani Raźny nieco tylko przypominała Gary'ego Coopera (w przeciwieństwie bowiem do słynnego aktora pod nosem pracownicy poczty wyraźny był czarniawy wąsik, a i linii nosa daleko było do doskonałości hollywoodzkiego amanta), to jednak na moment upodobniła się do niego. Godzina zemsty wybiła!

— Och — rzuciła lekko, taksując rywalkę od stóp do głów — jaka piękna… pogoda!

Krew zabuzowała w żyłach Morawieckiej (i kto wie, czy to nie uratowało jej kończyn górnych przed

amputacją), a krwistoczerwone plamy natychmiast pojawiły się na twarzy i krótkiej szyi wdowy po aptekarzu. Lecz choć w oczach rozmówczyni Ada Raźny bez trudu dostrzegła chęć mordu i całkiem niechrześcijańskie pragnienie zemsty, w głosie pani Karoliny tych emocji usłyszeć się nie dało.

— Mam nadzieję, Adeczko — mówiła Morawiecka jak gdyby nigdy nic — że i za te dwa tygodnie dalej będziemy mieli piękną polską jesień. W końcu wesele mojego drogiego przyjaciela i pomocnika, kochanego pana Rafałka, i mojej złociutkiej Alinki odbędzie się w dworku w Ojcowie. Żal byłby wielki, gdybyśmy nie mogli pobawić się również w ogrodzie. Bo jak wiesz, kochana — słowa, choć ociekały słodyczą niczym miód z liofilizowanymi płatkami róży, niosły w sobie zdradziecką moc i celność — na zabawę obiecał wpaść na moment i sam burmistrz… A teraz już muszę iść, moja droga! Rzeczywiście, do tak ważnego wydarzenia, w którym, jak zauważyłaś, będą brać udział NAJWAŻNIEJSZE osoby ze Skały i okolicy, trzeba się odpowiednio przygotować. Zwłaszcza że ja o wszystko muszę zadbać sama. W końcu — wreszcie wyciągnęła z rękawa nieco już sfatygowanego asa, którym od paru lat przebijała wszelkie krewne i znajome, nieopatrznie stające z nią w szranki o koronę — kto wdowie pomoże? No ale o krzyżu wdowieństwa, moja droga — rzuciła głosem osoby boleśnie doświadczonej przez los, która jednak z pokorą znosi wszelkie ciosy i na nic skarżyć się nie

zamierza — na szczęście nic nie wiesz, to i wyobrazić sobie tego nie możesz. Do widzenia! — I nie czekając na odpowiedź, pani Karolina z godnością królowej domowej martyrologii ruszyła w stronę parkingu.

Zirytowana w stopniu najwyższym wsiadła do swego tico i z sykiem wypuściła powietrze. *Żeby tak się wyzłośliwiać! Żeby tak zaatakować mnie, Bogu ducha winną wdowę! Za którą nikt się nie wstawi, której nikt nie obroni!*

Trzask pękających szwów przywrócił ją do rzeczywistości. Nici łączące satynę nie wytrzymały i oto brzuch pani Karoliny nagle został oswobodzony z niewoli sukienki. Jednak zamiast spodziewanego wybuchu złości Morawiecka poczuła… ulgę. Wreszcie odetchnęła pełną piersią i niemal od razu wbiła trójkę. Kiedy z Targowej skręcała w prawo w Słomnicką, czuła już tylko zadowolenie. Co tam sukienka, rzecz nabyta! Sukienkę może sobie kupić! Najważniejsze, że Ada Raźny nie dostała zaproszenia na ślub! A ona, wdowa po aptekarzu ze Skały, Jane Marple z Wielmoży, Herkules Poirot w spódnicy — i owszem!

* * *

Uwięzione w za ciasnych rękawach ręce ledwie dawały sobie radę ze zmianą biegów. Każde skręcenie kierownicy wywoływało nieziemski niemal ból. Tak więc kiedy po dziesięciu minutach jazdy ze Skały do Wielmoży z trudem zaparkowała w garażu, Karolina Morawiecka była zdecydowana pozbyć się nieszczęsnej sukienki raz na zawsze.

Gdy tylko udało jej się wreszcie ściągnąć jesienny płaszcz, dotarło do niej jednak, że wcale nie będzie to takie proste. Bez nożyczek się nie obejdzie. Oraz — co gorsza — bez pomocy. O ile bowiem rozcięcie mankietów (mniej więcej do połowy łokcia) przywróciło prawidłowy obieg krwi w żyłach i czucie w rękach, o tyle rękawy stanowiły już przeszkodę nie do pokonania. I tak po niemal półgodzinnej próbie ściągnięcia z siebie satynowej pułapki zdruzgotana wdowa po aptekarzu chwyciła za telefon.

— Alooo — rzuciła zrezygnowanym głosem do słuchawki. — Szczęść Boże, siostro Tomaszo. To ja. Czy mogłaby do mnie siostrzyczka wpaść na chwilę? Teraz, zaraz, jak najszybciej! Tylko w absolutnej, powtarzam: absolutnej!, tajemnicy!

Chociaż siostra Tomasza była gorącą zwolenniczką nad wyraz ostrożnej jazdy samochodem, a jej ulubionym biegiem była dwójka, zjawiła się w domu przy Podzamczu już dwadzieścia minut później. Szaleńcza jak na nią jazda z prędkością całych czterdziestu ośmiu kilometrów na godzinę była wyrazem najwyższej troski i niepokoju. Bo choć już od ponad roku znała Karolinę Morawiecką; choć wspólnie z wdową po aptekarzu rozwiązała niejedną kryminalną zagadkę*, to nigdy przecież nie słyszała w jej głosie takich emocji. Nigdy wcześniej nie słyszała w jej głosie… rozpaczy. Czystej rozpaczy.

---

* Zagadki te oraz dramatyczne historie im towarzyszące przedstawione zostały w *Śledztwie od kuchni* oraz w *Mordercy na plebanii*.

Gdy tylko pani Karolina otworzyła drzwi, zakonnica natychmiast pojęła, co musiało się wydarzyć. W końcu to właśnie za naturę detektywki (a nie, jak żarliwie zapewniali ksiądz biskup oraz siostra przełożona, za feministyczne poglądy) odesłano ją z Krakowa na skalską plebanię! Bez słowa wzięła nożyczki, pogłębiła nacięcia w kilku miejscach, wykonała parę nowych i już po chwili udało jej się uwolnić Morawiecką z haniebnych pęt.

Niebieska tafta opadła żałośnie na wyfroterowaną podłogę. Nadrukowane irysy zdawały się więdnąć, a ich żółć straciła na intensywności. Nędza tkaniny niczym jednak była przy stanie, w jakim znajdowała się w tamtej chwili wdowa po aptekarzu. Świadoma własnej porażki Karolina Morawiecka stała się bowiem ucieleśnieniem autentycznego cierpienia. Rozpaczy tak czystej jak świeżo wykrochmalona pościel! Jak myśli Zosi biegającej w słońcu po soplicowskim ogrodzie! Tak musiała wyglądać Niobe, nim łaskawy Zeus zamienił ją w skałę! Tak mogła czuć się nieszczęsna Fedra na chwilę przed śmiercią!

Czy to w wyniku długotrwałej walki z sukienką, czy może właśnie pod wpływem wszechogarniającego poczucia klęski, krótkie loki, zazwyczaj przywodzące na myśl utrwalony lakierem mahoniowo–buraczany kask, oklapły. I nawet trzy włoski, na co dzień sterczące godnie, lecz zawadiacko ze sporych rozmiarów narośli wyłaniającej się raz po raz spod kilku warstw podbródków, jakby straciły na sztywności. Pełna pierś

przytrzymywana grubą fiszbiną i zakryta jedynie poliestrową halką w kolorze jasnego różu zafalowała gwałtownie. Morawiecka westchnęła tak głęboko, tak rozpaczliwie, że czuwająca obok nich Trufla, wiecznie obśliniona dożyca de Bordeaux pani Karoliny, zawyła przeciągle. A wydobywający się z psiego pyska zapach podziałał na obie kobiety niczym sole trzeźwiące.

Widząc rozpacz swej przyjaciółki, która — co podkreślała przecież wielokrotnie — nader wysoko ceniła sobie cnotę gospodarności, siostra Tomasza bezzwłocznie przystąpiła do działania. To jest do podnoszenia na duchu.

— Pani Karolinko — dla wzmocnienia siły przekazu użyła nawet zdrobnienia — proszę nie tracić ducha! Grzechem byłoby taką sukienkę wyrzucić, bo i nowa, i… — zawahała się na moment, ale jednak potrzeba pokrzepienia bliźniego wzięła górę nad prawdomównością — …elegancka. I na pewno tania nie była. Wystarczy zmienić ten zameczek na karku na jakiś większy, porządny! Kilka wstawek, ot, choćby z koronki, takiej rozciągliwej, doda jej tylko uroku. Jeszcze będzie pani miała, pani Karolinko droga, wyjątkową kreację. Do wesela się… zeszyje!

Wdowa po aptekarzu otarła łzę tym energiczniej, że w obu rękach odzyskała już całkowitą sprawność.

— Może i ma siostrzyczka rację — przyznała — że wyrzucać nowiutką sukienkę to jednak pewna przesada. Ale — znowu ogarnęła ją rozpacz czarna i gęsta niczym

najlepsza kawa po turecku, parzona w miedzianym cezve ze sporą ilością przypraw — ja sama sobie z tym nie poradzę! Maszyny do szycia nie mam, a wzrok, choć świetny, nawlec mi nitki nie pozwala. No i ścieg nie zawsze mi równo wychodzi… A przecież — oczy znowu jej się zaszkliły — do żadnej sąsiadki nie pójdę, ani do krawcowej nawet!

— Ale czemu? — nie zrozumiała siostra Tomasza. — Przecież w Skale niejeden zakład krawiecki można znaleźć.

— Siostrzyczka to niby detektyw, a czasami najprostszych rzeczy nie pojmuje — załkała jawnie Morawiecka. — Przecież ja się potem ludziom na oczy nie pokażę! Na językach mnie rozniosą, obgadywać będą! A już Ada Raźny…

— Pani Karolinko droga — uśmiechnęła się przyjaźnie zakonnica — to przecież żaden problem. Pani Małgorzata ma maszynę do szycia, co rusz coś tam na niej szyje, bo przecież ksiądz Walery nowych ubrań praktycznie nie kupuje…

Obie westchnęły.

Siostra Tomasza — na myśl o proboszczu Walerym, który uprawiał ascezę i na żadne zbytki, a już zwłaszcza kulinarnej natury, na swojej plebanii nie pozwalał.

Karolinę Morawiecką natomiast przepełniła ulga. Pani Małgorzata na pewno jej tajemnicy nie wyda, dyskrecję zachowa, sukienkę poprawi i pomoże zabłysnąć na weselu!

* * *

Kolejne dwa tygodnie nie tylko wdowa po aptekarzu spędziła na nerwowych przygotowaniach. Zbliżające się wielkimi krokami wesele młodszego aspiranta Rafała Batorego z mieszkanką Wielmoży Aliną Stachowiak spędzało sen z niejednych powiek. Problemem był nie tylko dobór odpowiedniej garderoby, która podkreślać będzie wszelkie atuty i jednocześnie maskować pewne niedoskonałości, ale i wybór najbardziej twarzowej fryzury czy wreszcie obuwia, które nada sylwetce pożądaną gibkość, nie masakrując przy tym stopy.

Równie istotne i dramatyczne pytania wiązały się z wyborem prezentu dla młodych, a w zasadzie z zawartością oczekiwanej przez nich koperty. Czy równowartość ceny posiłku wystarczy? A jeśli nie, to ile należy dać? Gdzie dokładnie przebiega granica między skąpstwem a rozrzutnością? Gdzie znajduje się bezpieczna strefa równowagi pomiędzy zdrowym rozsądkiem, hojnością i cnotą gospodarności? Palce zaklejające koperty drżały, a głowy wypełniały się dramatycznymi rozważaniami. O, gdzie te czasy, w których ozdobny kryształowy wazon uchodził za idealny podarunek?! Gdzieście odeszły, o piękne chwile!, w których zestaw ręczników w kilku rozmiarach stanowił wybór pewny i sprawdzony? A żelazko? Talerze? Sosjerki i dzbanki? Serweta z fikuśnym szlaczkiem, własnoręcznie haftowanym? Zestawy flanelowej pościeli? Obrusy białe, porządne, takie, co to jeszcze przed wojną bywały?

Atmosferę napięcia i oczekiwania podsycały dodatkowo krążące po okolicy wiadomości. Przekazywane sobie naprędce informacje (zwłaszcza przez organiścinę, Agatę Gałkową, która co prawda na uroczystość nie otrzymała zaproszenia, ale pannę młodą znała z widzenia, a i pana młodego całkiem dobrze kojarzyła) składały się na poruszający obraz.

Uroczystość miała być niewielka, raptem na sto dwadzieścia osób, bo się młodym zamarzyło kameralne wesele. Na szczęście rodzice narzeczonych czuwali i w ostatniej niemal chwili romantyczny, acz niewielki kościółek „Na wodzie" zamieniony został na kościół w Skale. Co prawda niektórzy krytykowali fakt, że msza zamiast w wielmożańskim kościele pod wezwaniem św. Rocha, czyli w rodzimej parafii panny młodej, odbędzie się w pobliskim miasteczku, jednak zdecydowana większość w głębi duszy tę decyzję pochwalała. Zawsze to okazja, żeby się do — choćby i nie największej — metropolii wybrać, trochę świata — choćby i dobrze znanego — zwiedzić, kazania innego wysłuchać…

Wybór miejsca zaślubin szybko zresztą przestał podgrzewać i tak rozgrzaną do czerwoności atmosferę wobec pojawiających się coraz to nowszych informacji. Przekazywane z ust do ust zaostrzały apetyt i silnie oddziaływały na wyobraźnię. Florystyka będzie miejscowa, ale suknia już z Krakowa, i do tego szyta na miarę. Garnitur pana Rafałka (na mundur

Alinka się zgodzić nie chciała, bo podobno mówiła, że nie za policjanta, ale za swojego Misiaczka za mąż wychodzi) ma być prosty, klasyczny, ale już koszula będzie… różowa! Tradycyjny zaś krawat, widział to świat!, zastąpić ma podobno najprawdziwsza mucha. Aksamitna i — podawano sobie z niedowierzaniem — bordowa! Obecność burmistrza wciąż nie została co prawda potwierdzona, obstawiano jednak, że przynajmniej na mszy się pojawi. Oprócz wódki miano na pewno serwować wino, a weselne menu ułożyła ponoć sama Karolina Morawiecka, która od czasu śledztwa w sprawie śmierci na zamku w Pieskowej Skale bardzo się z młodymi zaprzyjaźniła.

— To prawda — potwierdzała pani Karolina, skromnie spoglądając w dół, to jest tak do połowy imponującego biustu — że obiecałam im pomóc. Zresztą to nic dziwnego, że się w ważnych sprawach prosi o pomoc eksperta. Poznali się przecież na mojej kuchni nie raz, nie raz… Poza tym — tu ściszała głos do szeptu, dając tym samym do zrozumienia, że oto teraz padną słowa nie tylko wyjątkowej wagi, ale i nie dla wszystkich uszu przeznaczone — kogo by się mieli poradzić, jak nie mnie, która ich przecież ze sobą zeswatała? Wiadomo, że już przy sprawie śmierci tej całej Anny Bednarz, co to na zamku w Pieskowej Skale zginęła, podjęłam stosowne działania, żeby młodzi się lepiej poznali… A że przy okazji udało się złapać mordercę, cóż, wola Boska! Prawdą jest — dodawała skromnie po chwili — że nie

tylko dzięki mnie doszło do wesela, bo i siostrzyczka Tomasza nieco mi w tym pomogła, ale — zastrzegała od razu — nieznacznie, bo i gdzie się zakonnicy w ziemskie sprawy mieszać… Za dużo zdradzić nie mogę. Tyle tylko, że rosołu nie będzie!

***

— Ale jak to? — zdziwiła się pani Małgorzata w czasie jednej z sekretnych przymiarek odbywających się w jej pokoju na skalskiej plebanii. — Jak to tak bez rosołu? Na polskim weselu?

Gospodyni księdza Walerego, uprawiającego ascezę proboszcza skalskiego kościoła, niejedno już w swym długim życiu widziała, niejedno słyszała. Ale żeby zrezygnować z bulioniku podczas takiej uroczystości, nie mieściło jej się w głowie.

— Chyba że — zasugerowała zarumieniona od własnych podejrzeń — to w ramach pokuty jakiejś? Bo jakoś tak szybko się za żeniaczkę wzięli, dopiero co się ze sobą zeszli…

— Pani Małgorzato! — upomniała z kąta siostra Tomasza. — Tylko bez plotek!

— Prawdą jest — Morawiecka nader chętnie podjęła temat — że rzeczywiście szybko się ta ich miłość rozwinęła. Bo przecież poznali się w czasie śledztwa w sprawie tej biednej Bednarzówny (Panie, świeć nad jej duszą…), czyli we wrześniu zeszłego roku, ale zapewniam — stosowny do wypowiadanych słów rumieniec

zalał nie tylko jej szyję, ale i skrywające ją podbródki — że żadnej tutaj tajemnicy nie ma.

— Po prostu kochają się i tyle — zauważyła zakonnica. — Choć dobrze pamiętam, jak próbowałam Alinę przekonać, że o wartości kobiety nie decyduje żadna obrączka na palcu, żaden narzeczony u boku…

— Pani Małgosiu — wdowa po aptekarzu postanowiła natychmiast przerwać zakonniczce, zbyt dobrze bowiem znała kierunek, w którym zmierzał monolog — jeszcze tylko jeden klin, tutaj z boczku, i sukieneczka będzie idealna.

— Coś mi się widzi, pani Karolinko kochana, że musimy z obu boczków zrobić te kliny — gospodyni przyjrzała się krytycznie swojemu dziełu, opinającemu ciało przysadzistej modelki.

Zamek błyskawiczny na szerokiej taśmie dodany na plecach, wielki klin z granatowej koronki wszyty na biuście oraz wstawki na całej długości rękawów pozwoliły pani Morawieckiej zmieścić się w sukience bez obrażeń ciała. Wciąż jednak nie pozwalały na swobodne poruszanie się, o tanecznych krokach nie wspominając.

— Proszę pamiętać — siostra Tomasza nie mogła się powstrzymać — że pani Karolina musi jeszcze w tej sukience usiąść…

— I cosik zjeść — zachichotała staruszka. — Nawet jeśli nie rosołek.

— Pani Małgosia to widzę — Morawiecka nie wytrzymała — nie potrafi tej myśli zaakceptować. A przecież

na weselu będą i weganie! Zagadka, nad którą pracowaliśmy rok temu, zresztą sama pani pamięta…

— To prawda. — Księżowska gospodyni nagle spoważniała i zrobiła znak krzyża. — Bo przecież od mojej biednej Martusi tamta sprawa się zaczęła.

— Ano właśnie! Gdyby nie pani i pani przyjaciółka Marta Dobrowolska (niech jej ziemia…), Alinka z Rafałkiem pewnie nie poznaliby się z moimi sąsiadami! Tymczasem poszukiwanie mordercy ich zbliżyło, a ja się potem musiałam głowić nad wegańską zupą dobrą na wesele!

— Czy drugie danie — zaniepokoiła się nagle siostra Tomasza, która jako detektywka zaangażowana w rozwiązywanie kryminalnych zagadek także dostała zaproszenie na wesele młodego policjanta i kelnerki z Herbovej — też będzie… wegańskie?

Takich emocji doświadczać musiał Jean Valjean, gdy po latach zobaczył Javerta! I Kordian, gdy nocą skradał się do carskiej sypialni! Strach jednak, choć niemal ściął krew w żyłach, choć zaparł jej dech w piersi, nie trwał długo. Widząc pobladłe nagle oblicze chudej jak szczapa zakonnicy, Karolina Morawiecka ruszyła z odsieczą. To jest z wyjaśnieniami.

— Pan Rafałek też się tym martwił, siostrzyczko droga, a niepotrzebnie, niepotrzebnie. Niech się siostrzyczka nie lęka, bo i nie ma potrzeby. Dla wegan i wegetarian, owszem, będzie tofu. Kazałam je zamarynować w sosie sojowym z dużą ilością czosnku i imbiru i podać

w panierce z ziół i ziaren pieprzu. A my tymczasem sobie zjemy… — uśmiechnęła się porozumiewawczo i dla zwiększenia efektu zrobiła przerwę.

Zakonnica wpatrywała się w nią w napięciu. Podobnie jak i księżowska gospodyni, która choć na uroczystość się nie wybierała, to jednak ślubne historie przeżywała nad wyraz mocno — czy to dlatego, że była panną, czy też z powodu wrażliwości serca i czystej ludzkiej ciekawości.

— …boeuf bourguignon! — zakończyła tryumfalnie królowa weselnego menu.

— Chwała Panu na wysokościach! — wyszeptała wniebowzięta zakonniczka. — Święta Wiborado, święta Marto z Betanii, módlcie się za nami!

— Amen! — podsumowała pani Małgorzata, która co prawda nie rozpoznała nazwy potrawy, ale radość w głosie siostry Tomaszy jej wystarczyła. — A teraz niech już mi się pani nie rusza, pani Karolino, bo za chwilę to pani albo na wesele nie pójdzie, albo tej całej bif nie zje, bo sukienczyna nie pozwoli!

— Albo pani Karolina zje wołowinkę, ale jakieś nieszczęście z tego będzie — zażartowała siostra Tomasza.

Wypowiedziane w złą godzinę słowa stały się zapowiedzią zbliżających się wielkimi krokami wypadków. Ale o tym żadna z trzech kobiet jeszcze nie wiedziała. Na szczęście.

Weselne menu
Alinki & Rafałka

Zupa
francuska wykwintna zupa vichyssoise
z kwaśną śmietaną i dymką podana

Drugie danie
boeuf bourguignon w towarzystwie
ziemniaczanego purée z wyszukanym
dodatkiem ćwikły oraz marchewkami
zapiekanymi z miodem i tymiankiem

Vege
tofu długo marynowane w sosie sojowym,
w posypce z ziół i ziaren pieprzu podawane

I ciepłe danie
rolada podwójnie zawijana z frytkami
i zestawem surówek po staropolsku podanych

Vege
placek ziemniaczany w otulinie
z żurawiny z surówkami serwowany

II ciepłe danie
barszczyk czerwony klasyczny z pasztecikiem
drożdżowym z nadzieniem z grzybów leśnych

Zimna płyta
&
Słodki kącik

Karolina Morawiecka (autorka) zaprasza do rozwikłania zagadki kryminalnej wspólnie z Karoliną Morawiecką (bohaterką).

Na weselu dochodzi do morderstwa. Kto spośród zaproszonych gości miał motyw? Dlaczego nikt nie przyznaje się do znajomości ze zmarłym? Czy dojdzie do skandalu?

Do akcji wkracza znana z dwóch poprzednich części cyklu wdowa po aptekarzu ze Skały, Karolina Morawiecka. To miejscowa panna Marple, której pomagają zakonnica, pies oraz znajomość literatury i sztuki kulinarnej.

Pytania się mnożą, weselna muzyka gra, a bohaterka rozpoczyna walkę z czasem. I z mordercą.

KAROLINA MORAWIECKA

(autorka) – doktor nauk humanistycznych, znawczyni i wielbicielka kryminałów. Mieszka w podkrakowskiej Wielmoży razem z mężem antykwariuszem i trzema psami: Truflą, Watson i Liskiem. Jej „Śledztwo od kuchni" i „Morderca na plebanii" błyskawicznie okazały się bestsellerami w swojej kategorii.

www.wydawnictwolira.pl

LiRA WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

PORTAL KRYMINALNY

ZBRODNIA W BIBLIOTECE

TeleTydzień

Kawiarenka Kryminalna.pl

ISBN 978-83-66229-61-7

cena: **29,99 zł** (w tym 5% VAT)